

Fiona E.HIGGINS

MAGIA KOŚCI



Fiona E.HIGGINS



urodziła się w Londynie.
Dorastała i studiowała w Irlandii.
Obecnie mieszka w XV-wiecznym
domu w hrabstwie Kent.
W roku 2007 debiutowała *Czarną
Księgą Sekretów* (W.A.B. 2009),
która stała się bestsellerem
i otrzymała nominację
do Waterstone's Children's Book
Prize. W 2008 roku ukazała się
Magia kości, a rok później
The Eyeball Collector – powieść,
w której spotykają się bohaterowie
dwóch poprzednich książek.

www.fehiggins.com



Fiona E.HIGGINS

MAGIA
KOŚCI

przełożyła
Agnieszka Walulik

Tytuł oryginału: *The Bone Magician*
Copyright © F.E. Higgins 2008
The Bone Magician was originally published by
Macmillan Children's Books, London

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Wydanie I
Warszawa 2010

Dla Andy'ego

Η μεγάλη βλακεία είναι θάνατος

Anonim

I nikt nie mógł równać się z Bestią
pod względem brzydoty

Anonim, *Opowieść o Strasznej Bestii*
z *Opowieści Houndseckera o Wrózkach i Duchach*

Koscijana magija – starodawna praktyka
wskrzeszająca ciała martwych

Słownik Jonsena, ok. 1625

Notka od F. E. Higgins

Podczas naszego ostatniego spotkania znajdowałam się w odciętym przez śnieg Pachspass, starej górskiej wioseczce, gdzie Joe Zabbidou i Ludlow Fitch mieli tyle kłopotów w *Czarnej Księdze Sekretów*. Gdy czekałam na odwilż, by podążyć ich śladami, odkryłam zaczątki nowej historii, która rozegrała się w pewnym mieście na południe od Pachspass. Miasto owo nazywało się Urbs Umida i tam właśnie się udałam – musiałam bowiem zobaczyć miejsce, z którego młody Ludlow Fitch uciekał przed swym nikczemnym tatką i mamcią.

Rzeka Smrodnica, prawie nietknięta przez czas, sunie przez serce Miasta równie cicho, jak zawsze. Jej północny brzeg rozkwitł, lecz południowy jest praktycznie wyludniony. Posługując się nielicznymi wskazówkami z pamiętników Ludlowa, po trzech dniach poszukiwań odnalazłam wąską uliczkę, przy której mieścił się lombard Lembarta Jellico, przyjaciela Ludlowa. Ku mojemu zaskoczeniu sklepik wciąż tam był i działał, prowadzony przez niejakiego Ethelreda Jelco, specjalizującego się w antykach. To właśnie

on sprzedał mi prześliczne drewniane pudełko, zawierające nadgryzione przez czas pozostałości Dziennika Pina oraz artykuły z „Kroniki”, z których po raz pierwszy dowiedziałam się o Benedykcie Pantagusie i Juno.

Magia gości nie jest ani sequelem, ani prequelem *Czarnej Księgi Sekretów*. Jest, jak lubię to nazywać, paraquelem. Zdarzenia w niej opisane miały miejsce dokładnie w tym samym czasie, co przygody Joego Zabbidou i Ludlowa Fitcha w Pagus Parvus. By przeczytać tę opowieść, nie trzeba wiedzieć, co wydarzyło się wcześniej – może jednak potem zechcecie cofnąć się w czasie i to sprawdzić.

Jak zawsze, moim zadaniem nie jest doradzać, lecz odślonić przed Wami to, czego się dowiedziałam.

F. E. Higgins
Anglia

MAGIA
KOSCI

Prolog

Dziennik Pina

Jakże ja nienawidzę tego podłego miejsca, tego miasta koszmarów. Nazywają je Urbs Umida, Wilgotne Miasto, i zaprawdę nazwa ta jest zasłużona. Odebrało mi ono wszystko, co było mi drogie. Lecz któregoś dnia, już wkrótce, stąd odejdę, kiedy tylko dowiem się prawdy. Przekroczę te bramy i nawet nie spojrzę za siebie. Pomyśleć tylko: nigdy więcej nie wdychać smrodu zgnilizny i rozkładu, nigdy nie słyszeć imienia Deodonatusa Snoada i nie czytać kłamstw sptywających spod jego trującego pióra.

Retę, ależ tu zimno. Wciąż zima, dzisiaj mamy ostatni dzień lutego. Ach, nie mogę dalej pisać, palce mi zdrętwiały. Chcę spać, owinać się ciemnością. Czasem wydaje mi się, że to właśnie jest sen, że wkrótce otworzę oczy i wszystko będzie tak jak dawniej. Wtedy jednak, gdy tylko ta maleńka nadzieja ma odwagę pojawić się w moim sercu, wciążam w nozdrza zapach rzeki i wiem, że jej smród jest jak najbardziej rzeczywisty.



Dziwna kompania

Niemal rozkładające się zwłoki trudno uznać za najprzyjemniejsze towarzystwo na zimowy wieczór, lecz Pin Carpue nie podjął się swojej pracy ze względu na rozkosze konwersacji. Robił to dla pieniędzy. Dzisiejsza noc była jednak nieco inna. Gdyby zmarła kobieta, której pilnował – za życia nazywała się Sybil – powstała nagle i spróbowała wciągnąć go w rozmowę, chłopak nie byłby w stanie odpowiedzieć, nawet gdyby chciał.

Znajdował się bowiem pod wpływem środka usypiającego.

Ledwo mógł się ruszać i całkowicie utracił zdolność mówienia. Leżał spowity w mgiełkę otępienia na ławce w kącie ciemnego pokoju. Ostatnią rzeczą, jaką przypominał sobie jego zamroczony umysł, był fakt wyjścia z domu. Natomiast miejsce, w którym Pin się obecnie znajdował, było tajemnicą.

Z niezwykłym wysiłkiem zdołał wreszcie unieść ociężałe powieki. Wytężył wzrok, lecz trudno mu było zorientować się w otoczeniu, ponieważ wszystko widział podwójnie.

Jego myśli sunęły niczym chmury po niebie: bezkształtne i leniwe. Jednak po zastanowieniu doszedł do wniosku, że to dziwne uczucie, to senne brzęczenie w uszach, nie jest właściwie nieprzyjemne.

Gdzieś w pomieszczeniu szeptały jakieś ciche głosy – gdyby Pin im na to pozwolił, na powrót ukołysałyby go do snu. Jednak jakaś część niego była na tyle przytomna, by wiedzieć, że pragnął pozostać świadomy. Utrzymanie otwartych oczu w tak trudnych okolicznościach z pewnością przerosłoby każdego innego chłopca, lecz Pin przywykł już do całonocnego czuwania. Była to część jego pracy.

Pracy, która polegała na pilnowaniu zwłok.

Ponadto w kieszeni miał potężnego sprzymierzeńca: szklany flakonik, wypełniony aż po brzegi wodą ze Smrodnicy. Zbieranie jej cuchnących płynów było odstręczającym zadaniem, teraz jednak chłopiec cieszył się w duchu, że napełnił wcześniej buteleczkę. Gdyby tylko mógł jej dotrzeć! Jego palce, zazwyczaj tak zręczne, były niczym miękka guma. Już samo uniesienie klapki kieszeni płaszcza przyszło mu z trudem. W końcu zdołał pochwycić flakonik i go wyjąć. Odpoczął chwilę, zanim stawiał czoło następnemu wyzwaniu – wysunięciu zatyczki. Nie był w stanie dokonać tego ręką, zatem z ogromnym wysiłkiem podniósł buteleczkę do ust, choć miał przy tym wrażenie, jakby przesuwiał ramieniem w głębokiej wodzie, po czym wyciągnął korek zębami. Zaciągnął się głęboko i natychmiast zaczęło go szczytać w oczach i ostro kłuć w nosie, jakby przegryzł ziarno gorzycy.

Rety! – wykrzyknął w myślach i zamrugał. Płyn wywołał jednak pożądaný skutek i po drugim niuchu Pin z wolna

powrócił do przytomności. Nieco ożywiony, choć całkowicie wyczerpany, mógł wreszcie ogarnąć umysłem sytuację.

Teraz przypominał już sobie, gdzie się znajdował. Była to Cella Moribundi, poczekalnia zmarłych w piwnicy pana Gaufridusa. Z jakiegoś powodu Pin został czymś nafaszerowany przez tamtych ludzi; trzy cieniste postaci krzątające się wokół stołu na środku pomieszczenia. Nawet przez myśl mu nie przeszło uciekać – jego odrętwiałe członki by na to nie pozwoliły. Poza tym miał wrażenie, że cienie nie były zainteresowane nim samym, lecz leżącym na stole ciałem.

- Budzi się.

Głos dziewczyny nappełnił go paniką. Chłopak zobaczył, jak z ciemności powoli podchodzi do niego jakaś postać. Ogarnęło go przerażenie i spróbował krzyknąć, lecz nie był w stanie. Zamiast tego zacisnął powieki. Może jeśli dziewczyna uzna, że spał, zostawi go w spokoju. Wyczuwał, że stanęła tuż obok niego. Pachniała jałowcem i środkiem usypiającym – aromat ten miał mu utkwić w pamięci. Poczul na twarzy jej słodki oddech.

- Daj mu jeszcze – polecił jakiś męski głos.

- Nie, chyba środek wciąż działa – powiedziała w końcu dziewczyna. Potem wszystko ucichło.

Powoli, ostrożnie, Pin odważył się na powrót uchylić powieki. Woda ze Smrodnicy i resztki narkotyku tworzyły potężną mieszankę, przez którą znalazł się jakby na granicy dwóch światów. Zauważył, że znowu zapalono świece, a po głosach zorientował się, że w pokoju poza starszym mężczyzną i dziewczyną znajdował się jeszcze jakiś młodzieniec (mówił z akcentem z południowego brzegu).

W obecnym stanie Pin niewiele mógł zrobić. Leżał zatem spokojnie i zafascynowany przyglądał się dziwnemu przedstawieniu, które miało właśnie rozegrać się na jego oczach.



Ważkie sprawy

Zaledwie kilka godzin wcześniej Pin w pełni panował nad swoimi zmysłami. Po skromnej kolacji złożonej z piwa, chleba oraz kawałka ryby z rożna opuścił wynajmowany przez siebie pokój w Alejce Starokoźlej i mozolnie ruszył przez miasto, walcząc z zacinającym gradem, który szybko zmieniał się w śnieg. Zawsze z przyjemnością opuszczał swoją okolicę. Alejkę Starokoźlą uważano za najgorszą ulicę na południowym brzegu Smrodnicy - co było dość przerażające, jeśli człowiek wiedział, jak wyglądały wszystkie pozostałe. Inne ulice posiadały jakieś cechy, które przemawiały na ich korzyść, jak chociażby lekkie nachylenie, dzięki któremu wszechobecna breja mogła gdzieś spłynąć, albo nieco lepiej rozmieszczone wyboje. Lecz o Alejce Starokoźlej nie dało się powiedzieć nic dobrego.

Wysokie, wąskie budynki były źle zaprojektowane, wzniesione w pośpiechu i wciśnięte w każdy możliwy skrawek przestrzeni. Pokoje dzielono raz za razem do tego stopnia, że każdy dom mieścił w sobie prawdziwy labirynt. Bardzo utrudniało to pracę funkcjonariuszom straży pod-

czas pogoni za przestępcami. Podobnie zresztą jak liczne wyjścia i wąskie alejki na tyłach. Budynki nachylały się lekko do przodu, co sprawiało niepokojące wrażenie, kiedy człowiek podnosił wzrok, a także oznaczało, że na ulicę regularnie obsuwały się z dachów duże ilości śniegu. Lecz niewielu ludzi spoglądało tam w górę. Zbyt przygniatały ich troski (ponadto musieli ciągle uważać na kieszonkowców). Alejka Starokoźła była źle oświetlona, co czyniło ją rajem dla wszelkiego rodzaju kryminalistów. Czasami zapalacz latarni w ogóle się nie zjawiał, a choć stanowiło to dużą niedogodność dla co poniektórych mieszkańców, to trzeba przyznać, że wielu innych z radością brało się do roboty w ciemności.

Co do reszty Miasta, a przynajmniej jego południowej części, większość chodników wymagała naprawy, same ulice zaś były właściwie tylko stertą śmierdzącego gnoju, ubijanego codziennie przez konie, koła powozów oraz stada bydła, świń i owiec, prowadzonych w dzień targowy na rynek. Co wieczór breja ta zamarzała w potwornym mrozie, który utrzymywał się już od jakiegoś czasu. Była to zima, jakiej nikt nie pamiętał.

Stacja Bartona Gumbroota mieściła się przy końcu Alejki. Była to podła dziura, którą Barton podzielił na jak najwięcej pokoiów, by zwiększyć dochód z wynajmu. Pin zawsze miał obawy przed powrotem do domu, niezależnie od pory dnia. Jego współlokatorzy tworzyli bez wyjątku dziwną zgraję, a każdy z nich wyróżniał się jakąś szczególnie przykrą cechą lub zwyczajem, często i jednym, i drugim. Co się tyczyło Bartona Gumbroota, Pin nie pozwoliłby mu się zbliżyć na odległość kija. Powszechnie

wiedziano, że Barton prowadził w piwnicy praktykę denty-
styczną – kolejna dochodowa robótka. Dniem i nocą sły-
chać było dochodzące z dołu wrzaski, lecz nikt nie miał
ochoty sprawdzać, co się tam działo. Zresztą sam Barton
sugerował już parokrotnie, że chętnie wyrwałby ząb albo
dwa w zamian za tygodniowy czynsz, lecz Pin odmówił.
Wszystkie te myśli, i wiele innych, obracały się w głowie
chłopca, kiedy szedł pospiesznie wzdłuż rzeki. Tuż przy
Moście przystanął na szczycie kamiennych schodków, któ-
re prowadziły do wody.

Bogaci naprawdę się od nas różnią – pomyślał z żalem,
spoglądając na drugi brzeg. Smrodnica od zawsze cuchnę-
ła, lecz po północnej stronie odór był ledwo wyczuwalny
ze względu na stale wiejące wiatry. Zatem nawet powie-
trze, którym oddychali zamożni, było lepsze. Z miejsca,
w którym stał, Pin widział zarysy ich pięknych domów.
Nie potrzebował dziennego światła, by wiedzieć, jak wyglą-
dają: fasady z oknami po obu stronach wejścia, z lśniącym
szkłem, wymyślną snycerką i błyszczącymi drzwiami, wypo-
lerowaną miedzią, czerwonymi dachówkami oraz gargulca-
mi o groźnych minach.

Pin wiedział też, jacy ludzie w nich mieszkają: tacy, któ-
rzy wydają pieniądze na frywolne drobiazgi, na byle rozryw-
kę, która ma urozmaicić im nudę. Pieniądze te były zresztą
niezapracowane. Niech Bóg broni, by ci wypomadowani
paniczykowie zza rzeki, z ich koronkowymi mankietami
i jedwabnymi spodniami, mieli przepracować uczciwie
choć jeden dzień. Co do ich lubych małżonek o nosach
zadartych wysoko do góry i spódnicach tak szerokich, że
nie mieściły się w drzwiach – cóż, podobno całymi dniami

nic tylko leniuchowały, popijały herbatę i pobierały lekcje rysunku lub śpiewu. Nie, fortuny tych ludzi były zwykle dziedziczne, lecz nie oznaczało to, iż zdobyto je uczciwie. Bogaci dziedziczyli nie tylko pieniądze. Dwulicowość minionych pokoleń mieli zapisaną we krwi. Być może nie popełniali zbrodni tak, jak co noc miało to miejsce nad rzeką – w końcu nie lubili brudzić sobie rączek – ale mimo wszystko też okradali i mordowali swoich bliźnich, tyle że w bardziej wyrafinowany sposób i zwykle z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

Może i dobrze by się żyło po drugiej stronie rzeki – myślał Pin – ale nie jestem pewien, czy lepiej jest mieszkać w pięknym domu i patrzeć na brzydkie, czy też w brzydkim i patrzeć na piękny.

Owszem – uznał w końcu, schodząc ostrożnie w kierunku lepkiego, czarnego błota na dole – życie po tej stronie było trudne, brudne i hałaśliwe, lecz pomimo wszystkich jego braków mieszkańcy południowego brzegu mieli w sobie jakąś uczciwość. Jedno spojrzenie wystarczyło, by poznać, jacy naprawdę są. Nie kryli się za pięknymi strojami i słówkami.

Trwał jeszcze odpływ, ale już się kończył. Pin pospiesznie przedostał się do krawędzi wody. Czasami w błocie można było znaleźć drobiazgi marynarzy, które wypadły im ze statków. Tej nocy jednak Pin nie miał czasu i za niczym się nie rozglądał. Wyjął z kieszeni mały szklany flakonik z dwoma uchwytemi i wyciągnął koreczek. Ostrożnie przytrzymując uszko kciukiem i palcem wskazującym, zanurzył buteleczkę tuż pod powierzchnię i pociągnął do przodu, póki nie napełniła się ciemną wodą.

Potem dokładnie ją zatkał i pobiegł z powrotem do schodków.

Sława odoru Smrodnicy niosła się daleko i szeroko, lecz człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, jeśli codziennie ma z tym styczność. W Urbs Umida rzadko więc zdarzały się dni, kiedy smród był tak dotkliwy, że ludzie zwracali na niego uwagę. Istnieje teoria, że z biegiem czasu rodowici Urbs Umidianie rozwinęli w sobie swego rodzaju odporność na ten zapach. Teoria ta mogłaby również wyjaśnić ich rzekomą zdolność do spożywania nadgniętego jedzenia bez żadnych konsekwencji. Czego nie wyczuwasz nosem, tego nie posmakujesz językiem. Pin jednak był przypadkiem specjalnym. Miał wrażliwe powonienie i wyraźnie odczuwał nawet najsubtelniejsze zmiany w odorze rzeki.

Zanim dotarł do cmentarza, śnieg sypał już na dobre. Otworzył furtkę, z głową wciśniętą w ramiona, nieomal wpadając na dziewczynę, która właśnie wychodziła. Podniosła ze strachem blade ręce. Mijając ją, Pin wyczuł leciutki zapach, nadspodziewanie przyjemny, i coś kazało mu mruknąć do niej „przepraszam”, nim ruszył dalej.

Cmentarzyk Świętej Mildred stanowił miejsce pochówków niemal od czasów, kiedy powstało samo Miasto. Był niczym dziura bez dna. Spoczywało na nim o wiele więcej ludzi, niż wskazywałyby na to nagrobki. Dość łatwo można to zrozumieć, gdyż grunt był tam niezwykle wilgotny i kwaśny. Połączenie tych dwóch czynników sprawiało, że proces rozkładu stawał się znacznie szybszy. A ponieważ cmentarz leżał na wzgórzu, wszystkie soki sączyły się w dół zbocza prosto do Smrodnicy. Kolejny składnik, który wzbogacał toksyczną zupę rzeki. Zdarzały się przypadki, kiedy zwłoki

zmieniały się w szkielet w przeciągu zaledwie kilku miesięcy - był to fenomen często omawiany przez znawców z Oberży pod Zręcznym Palcem.

Pin jednak, przechodząc między nierównymi rzędami nagrobków, wcale nie myślał o gnijących ciałach. Szedł zdecydowanym krokiem, póki nie dotarł do małego, nieoznaczonego, drewnianego krzyża. Był on nieco przechylony na lewo. Pin spróbował go wyprostować. Nie było to łatwe, gdyż ziemia zmarzła na kamień. U podstawy krzyża leżał bukiet wyschniętych białych kwiatków, sztywnych od zimna. Pin podniósł je, po czym przykucnął.

- Cóż, matulu - powiedział cicho. - Nie odwiedzałem cię już szmat czasu i bardzo cię za to przepraszam, ale mam pełne ręce roboty u pana Gaufridusa. Dzisiaj znowu pracuję. Wiesz, wolę już to niż spędzać noc u Bartona Gumbroota. Przebiegły lis, zawsze wypytuje o ojca. Czy wróci? Czy naprawdę to zrobił? Nie wiem, co mu odpowiadać.

Po każdym pytaniu robił krótką przerwę, jakby spodziewając się odpowiedzi, lecz żadna odpowiedź nie nadchodziła. Siedział więc i trzął się z zimna, nie zważając na gęstniejący śnieg i raz za razem obracając w dłoni kwiaty.

Spis treści

Notka od F.E. Higgins	9
Prolog Dziennik Pina	13
1 Dziwna kompania	15
2 Ważkie sprawy	19
3 Zgon w rodzinie	25
4 Goddfrey Gaufridus	29
5 <i>Memento mori</i>	42
6 Dziennik Pina	46
7 Zaczyna profesja	53
8 Śmierć w wodzie	59
9 Deodonatus Snoad	67
10 Artykuł z „Codziennej Kroniki Urbs Umida”	73
11 Dom słodki dom	77
12 Wieczorna rozrywka	83
13 Dziennik Pina	89
14 Przypadkowe spotkanie	97

15	Beag Hickory	104
16	Artykuł z „Codziennej Kroniki Urbs Umida”	112
17	Późna kolacja	116
18	Beag opowiada historię	121
19	Niespokojna noc	127
20	Dziennik Pina	134
21	Opowieść i umowa	141
22	Aluph Buncombe	148
23	Makabryczne odkrycie	157
24	Rudy Idolice	163
25	Żarłoczna Bestia	171
26	Zagubieni	176
27	Ocalony	182
28	Artykuł z „Codziennej Kroniki Urbs Umida”	189
29	Dziennik Pina	195
30	Uważaj, czego sobie życzysz	205
31	Niezwykła kolekcja	211
32	Dziennik Pina	216
33	Guzki w mroku	222
34	W ukryciu	231
35	Prawda ujawniona	240
36	<i>Natura niczego nie tworzy na próżno</i>	243
37	Dziennik Pina	248
38	Trudne zadanie	252
39	Juno opowiada historię	256
40	Artykuł z „Codziennej Kroniki Urbs Umida”	262

41	Dziennik Pina	265
42	Wymarsz	267
	Notka od F.E. Higgins	269
	Dodatek I Księżniczka i Ropuch	271
	Dodatek II Nasosznik trzęś	275

Przekład: Agnieszka Walulik
Redaktor prowadząca: Natalia Sikora
Redakcja: Katarzyna Leżeńska
Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Anna Hegman
Redakcja techniczna: Alek Radomski

Opracowanie okładki polskiej i stron tytułowych
na podstawie wersji oryginalnej: Marek Goebel

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: **manufaktura**
Druk i oprawa: DRUK-INTRO S.A., Inowrocław

ISBN 978-83-7414-823-8

Atmosfera to najistotniejszy składnik czaru *Magii kości*.
Jeśli lubicie filmy Tima Burtona, pokochacie również tę książkę!

„The Times”

Młodzi czytelnicy, którzy gustują w opowieściach z dreszczykiem, uznają *Magię kości* za dzieło doskonale przerażające.

„The Guardian”

Znakomite! Higgins stworzyła niepodrabialny świat ponurej fantazji, który ma wiele wspólnego z dziełami Charlesa Dickensa czy Mervyna Peake’a.
Historia, która chwyta czytelnika w swe szpony i łatwo nie wypuszcza!

Eoin Colfer

PATRONAT MEDIALNY

Fantastyka

Dziewczyna



WILDIA.PL

ARENAHORROR

Mieszkańcy złowrogiego Urbs Umida mawiają, że narodziny to pierwszy krok w stronę śmierci. Nad południową dzielnicą unosi się cuchnąca mgła znad rzeki, a labirynty uliczek aż zachęcają do zbrodni. Pin Carpue przekona się wkrótce na własnej skórze, że nie jest to miejsce dla strachliwych. Kiedy umiera jego matka, a ojciec znika w atmosferze podejrzenia o morderstwo, Pin zostaje sam jak palec. Żeby opłacić obskurny pokój i nie umrzeć z głodu, pracuje u przedsiębiorcy pogrzebowego. Pewnego razu zakrada się tam tajemniczy Mag – ktoś, który umie sprawić, by umarli przemówili raz jeszcze...

978-83-7414-823-8



9 788374 148238

Cena 39,90zł